

Usiadłem w wygodnym fotelu, który stał w jednym z pokoi opuszczonego i zakurzonego hotelu. Uciekli stąd niemal wszyscy, ostał się zapleśniały portier. Miał pilnować ostatnich gratów, jakich jeszcze nie wyniosły pazerne ludzkie ręce. Dostałem od niego klucz do jednego z pokoików. Powiedział, w wielkim zresztą sekrecie, że wciąż stoi tam magiczne, przeszklone pudełko, w pewnych kręgach (dość szerokich) zwane telewizorem. Pomyślałem – właściwie czym mi to szkodzi, usiądę, popatrzę, może pośmieję się wreszcie. Bo moje zagлуcone życie nie daje zbyt wielu powodów do euforii. Ośmieliłem się wzburzyć nieco dywan i wyciągnąłem przed siebie nogi. Obok, na niewielkiej etażerce, leżał pokryty zeschniętym ludzkim tłuszczem pilot. *Śmiało, nie krępuj się. On naprawdę nie robi krzywdy.* Słuszość leżała po stronie głosu, szepczącego gdzieś z tyłu głowy swoje doniosłe zaklęcia.

Guzik został wciśnięty. Szklana tafla rozbłysła, najpierw na biało, po chwili zaczęła się i kurtyna ciemności zaczęła rozchyłać się coraz bardziej, ukazując miriady soczystych barw. Z miniaturowych dziurek, pomieszczonych u dołu plastikowej skrzynki, wytrysnęła współczesna symfonia „zen”, pełna dysharmonii i nie-świętego spokoju. Na ekranie ukazali się ludzie w srebrnych kombinezonach, wyjętych żywcem z *Seksmisji*. Mądrzy reżyserzy tegoż marnego widowiska nakazali im również noszenie kasków w dwóch barwach, czerwonych w jednej i niebieskich w przeciwnej drużynie. Prowadzącego ubrano w sweterek (niewiadomej orientacji), ufarbowany fioletowym barwnikiem. Dawał ciekawy kontrast z szufladą błyszczących stomatologiczną bielą minerałów zwanych zębami. Śmiał się bez przerwy, tylko brać i ustawiać na półce piękną kolekcję (niestety, niemal identycznych) kamieni. Zaprosił do siebie kapitanów drużyn, pokrótce objaśnił zasady *rozgrywki* i przystąpiono do niezwyklej zabawy – uczestnicy musieli wpasować się w formy wycięte w nadjeżdżającej, dość sporych rozmiarów, ścianie. Jeśli nie udało się tego dokonać wpadali do wody, przy akompaniamencie chóru klakierów, zgromadzonych na widowni *Cyrku*. Ale, jakże obraźliwie brzmi nazwanie tego chlewu mianem starożytnego piękna. Oczywiście, wszyscy mądrzy uczestnicy bawili się doskonale, pluszcząc swoje okryte rtęcią ciała w brodziku dla nierozgarniętych młokosów. Jakże miło było to oglądać. Cóż, jakie czasy, tacy gladiatorzy. Masa musi dostać swój chleb i swoje igrzyska. Tak właśnie dogorywał świat antyczny – *co z tego, że wszystko dookoła umiera? My mamy nasze igrzyska i nasz chleb, jesteśmy zadowoleni, Cezar dba o nasze wiecznie nienasycone brzucha. Wiecznie powinien lać w nie wino stare.* I cóż z tego, że normalny świat umiera? My się bawmy, śmiejmy, nas to nie dotyczy, niech się lepsi martwią. I nieważne jest, że wkrótce nocnik, do którego wszyscy wspólnie rąbiemy, pęknie niczym szyba, rozbita przez niesforemego młokosa. Umrzycjmy, otoczeni przez powszechne roześmianie, w ogólnej i niczym niezmaćonej radości.

Wyłączyłem ten marny pokaz marnie podrobionej sztuki gladiatorskiej. Ale nie odszedłem od telewizora z poczuciem niesmaku. Nie, nic z tych rzeczy. W głębi ducha narodziła się świadomość, że w gruncie rzeczy moje życie jednak nie jest tak zasmarkane, jak mogłoby się wydawać. I z tym poczuciem opuściłem hotel, opuszczając też jakby całe kolorowe życie, jakie próbował mi zafundować.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Woland, dodano 29.11.2011 19:20

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).